Nro 17.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 10 sierpnia 1844. **Rok piąty.**

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 27 lipca 1844.

Stroje damskie. Ostatnie dnie wystawy, były prawdziwie dniami uroczystości dla mody, bo nigdy jeszcze niewidzieliśmy świetniejszego zebrania strojów wytwornych i eleganckich. Widzieliśmy bardzo dużo sukień bareżowych koloru szmaragdowego, z trzema, pięcioma albo i siedmioma falbanami, z których każda obszytą być powinna wązką korunką walensyjską, z stanikiem gładkim, wysoko zachodzistym, z rękawami obcisłemi. Niemożemy także pominąć sukni z jedwabnej materii, której tło jest jasno-niebieskie a po niem bukiety z drobnych kwiatów rzucane; stanik przy tej sukni jest dość długi, w ramionach i w pasie namarszczany; rękawy weneckie; spodnica dwiema ubrana falbanami. Przy tej sukni ślicznie się wydaje krepowa kapotka z bukietem hortenzij i fiołków; do tego stroju dodajmy jeszcze rańtuch z rękawami z przezroczystej organtyny, obszyty korunką alensońską. Batysty szkockie są także bardzo używane na suknie.

Redyngociki najwięcej robią się z fulardu szkockiego w dwa cienie, tojest: różowe z białem, białe z niebieskiem lub lilia z białem; spodnice przy nich otwarte, przystrajane z każdej strony szeroką plecionką ze wstążek wcienie, tegoż koloru co materia z której redyngociki; staniki w koło podobnąż plecionką ubrane; rękawy gładkie ukośnie krajane, do połowy ręki tylko dochodzące, również plecionką obszyte; drugie rękawy muszlinowe.

Kapelusze najwięcej używane, są: z słomki ryżowej, ubrane równianką z liści dębowych; kapelusze ze słomki przezroczystej, ubrane równianką z kwiatów bez liści; kapelusze z krepy zielonej, które najlepiej przystrajają marabu, także kapelusze z krepy w różnych kolorach, wszystkie po największej części kwiatami ubierane. Od kilku dni widzimy mnóstwo kapotek z czarnych korunek, którym słonecznik służy za wystrój. Podobne kapotki stanowią strój wytworny.

Wspomniemy tu jeszcze o koszulach z płótna bardzo cienkiego które mają kształt redyngocików; są wysokozachodziste, otwarte aż do pasa, z fałszywym obrąbkiem, który się ciągnie aż do dołu i zakończa się podobnie jak podwłośnik. Koszule te mają kołnierz amazoński i długie rękawy zaokrąglone u dołu; są bardzo szerokie, i mogą się nosić bez spodnicy, wtedy gdy się bierze podwłośnik.

Rycina dzisiejsza przedstawia: szlafroczek czarny mantynowy na przodzie *à la neige* ubrany; stanik otwarty z karoczkiem, kapelusz korunkowy. Druga figura szlafroczek z białego muszlinu haftowany, bufkami i korunkami obszywany; stanik gładki podobnież haftowany, rękawy ozdobione bufkami, negliżyk z tarlatany wstążkami ubrany. Trzecia figura suknię jedwabną mieniącą, z potrójną falbaną obszytą pasamonikową krepinką, stanik półwysoki z podwójną pelerynką, rękawy otwarte, podspodem białe muszlinowe. Kapelusz ryżowy kwiatami i wstążkami ubrany.

Stroje męskie. Można teraz najczęściej obaczyć strój składający się z surduta na dwa rzędy guzików zapinanego, z kamizelki tożsamo o dwoch rzędach guzików, ze spodni szerokich i bez strzemionczek, nakoniec buciki na korkach obszyte wstążką nad stopą. Ażeby trafić krój takiego surduta, pamiętać trzeba, że klapy powinny być średniej szerokości, końce kołnierza troche zaokrąglone i takowy tożsamo powinien być nie zbyt szeroki; stan długi; przodki i klapy powinny być obszyte taśmą. Pamiętać też trzeba na to aby niebył obcisły, gdyż właśnie wymaga tego moda tej chwili, aby suknia leżała jak najwolniej.

Fraki noszą francuskie w których krój w tem do dawnego podobny, że stan jest długi i szeroki a poły zawiesiste; kamizelka do takiego fraka powinna być o jednym rzędzie guzików dość długa.

Rycina przedstawia: surdut o dwoch rzędach guzików, z kołnierzem okrągłym, tudzież frak do przechadzki z kieszeniami na połach.

WET ZA WET.

OBRAZ MAŁEGO MIASTECZKA.

I.

— Półki do stodoły! papiery w kącie sypialnej izby przy piecu ułożyć porządnie. Ale! ale! xiążkę szupasową wraz z protokołem zanieś panie Jacenty do pokoju bawialnego.

— Na co panie sędzio? zapytał pan aktuariusz Jacenty.

— Może licho przyniesie jakiego włóczęgę.

— Owa! to niech posiedzi do jutra w areszcie.

— Prawda!...

Pachołek kancelarijny, skromnie policiantem nazwany, w szarej guni z zielonym kołnierzem wraz z furmanem w łatanym kożuchu sprzątali, wynosili, rozbijali się na wyścigi, ściśle wypełniając rozkazy. Aktuariusz wiązał papiery na wędrówkę przeznaczone, a pan mandatariusz rozmyślał nad ważną rzeczą, gdzieby schować kałamarz, aby na dzisiejszym wieczorze podochoceni goście, jemu i sobie szkody nie zrobili. Walnyżboto miał być bal; wszyscy *honoratiores* miasteczka i okolicy mieli nań zdążyć, a nawet po dwoch cyrkularnej sławy taneczników, magistratualnych praktykantów podwodę w nocy jeszcze wysłano do miasta obwodowego o mil trzy odległego. Sędzia pozwala bezpłatnie kancelarii dominikalnej na salę przedzierżgniętej; zatrudnia się doborem osób, przysmaków i napojów, jednem słowem, jest samowładnym kuratorem dzisiejszej zabawy. Sala ogołocona dotąd ze wszech sprzętów prócz środkowego stolika, który pozostał jeszcze z mnóstwem paczek sznureczkami okręconych; są to sprawunki lwowskie przez Mendla hurtownika miasteczkowego sprowadzone. Oko sędziego spoczęło przypadkowo na ścianie drzwiom przyległej; na kołkach gęsto wbitych przez całą jej szerokość wisi dubeltówka, pojedynka, pare smyczy, tyleż swór, trąbka rogowa, torba borsucza, munsztuk, tręzla, dwa kanczuki, jeden harap i sześć par łańcuszków z kłudkami.

— Pietrze! schowaj to wszystko pod łóżko jejmoście.

Piotr schował; ani się spodziewa jak nazajutrz dostanie pare policzków od jejmości za to, że niewiedząc spała z niebezpieczeństwem życia na palnej broni, a od jegomości podwójną porcię, za przetarcie dubeltówki. Nastąpił potem przegląd sprawunków; pan sędzia cieszy się najmocniej dwoma taliami kart, które opakowane i opieczętowane należycie, wyglądają jakby nowe, chociaż nie mało dramatycznych zielonostolikowych zdarzeń opowiedziećby zdołały; i dwoma funtami świec z czerwonemi knotami, rzadkości niepospolitej na partykularzu. Po przejrzeniu sprawunków sama pani sędzina zabiera je pod swoją opiekę.

I już wszystko gotowe; podłoga umyta świeci tu i owdzie atramentowemi plamami jakby arabeskami; firanki świeżo wyprane, a strojne w hafty dziur cerowanych; stołki własne i sąsiedzkie szeregiem stanęły w około; boczne drzwi, jedyny wchód do spiżarni zasłonięte dla wdzięku czerwoną kapą z łóżka jejmości; fortepian z bębnem, dzwónkami, fagotem, forte i piano już wniesiony, a tuż przy nim stół dla muzyki. W czterech rogach błyszczą potrójne świeczniki kahalnego, wielkiego przyjaciela sędziego; jużto do nich nie należą krasne knoty; do szabasowych świeczników produkt miejscowy choć nie jasny a śmierdzący lecz tani bo darowany przez Herszka rzeźnika i mydlarza razem. A więc wszystko jak należy. Sędzia idzie przez sień do pokoju bawialnego; i tu zadowolniony. Miejsce fortepianu zajął z gustem tapczan Jacentego wraz z siennikiem, nakryty dywanem byłych barw i byłych rysónków, cząstką wniosku jejmościnego; i turecka sofa już gotowa. Długi stół z karczmy zgrabnie osłonęli obrusami; w świecznikach mosiężnych wybornie na dzisiejszy wieczór pośrebrżonych proszkiem z apteki pana Rafała tkwią okazale trójbarwiste świece, białe środkiem, czerwone knotem, a zielone u spodu papierową fryzurą. Ile tam przysmaczków na półmiskach rozstawionych, powiększej części z drobiu podarkowego, czynszowego i nieczynszowego składających się; w samym środku trzy smukłe z winem butelki wznoszą się w górę niby trzy chińskie wierzyczki podparte jakby basztami czterma półgarncówkami piwnemi. Jak rzadkie rybki na morzu obrusowem, pływa kilka miseczek z miętowemi pastelkami, i korzennemi cukierkami. Temito słodyczami, z dodatkiem butelki syropu migdałowego, i flaszeczki galarety malinowej mającej ozdobić piankę, królowę dzisiejszej wieczerzy, okupił pan Rafał dla siebie i żony wejście na bal po dwa ryńskie monetą od mężczy-

zny a po półmisku ciasta i pieczywa od kobiety ustanowione. Na okrągłym stoliku przy oknie cały przybór herbaciany z ojcem samowarem, i dziećmi szklankami, cukierniczką i karafką, z winietą, jamajkowym rumem woniejącą; przy drzwiach nareszcie na małym stoliczku, roztasowały się szeroko trzy butle z orszadą, piwem, i wodą ku ochłodzie spragnionych taneczników przeznaczone. W pokoju sypialnym roztwarty stolik do gry zielonym ongi obity suknem, sławny kuglarskiemi swemi dziurami, w których nikną nieraz karty grających z niemałym ich zadziwieniem; zawadzają tam jeszcze papiery w kącie przy piecu zrzucone, ale pan sędzia nie w ciemie bity, wydobył z pod poduszek łóżka trzecią część składanego materaca, położył na wierzch i wszystko razem nakrył tyrolskim kilimkiem, codzienną ozdobą stołu jadalnego, i tym sposobem stworzył sofkę dziwnie wygodną. A więc i tu wszystko jak należy. Poczem przejrzawszy listę gości, zsumowawszy dochód i wydatek, zatarł ręce, klasnął w dłonie, a musknął wąsy pełen radości że wydatki nieprzeszły dochodów. Jeszcze jedno! pomyślał chwilę, trzeba tu zaimponować gościom... i wymyślił!... bo pan sędzia ma głowę nie tylko dla kapelusza lub czapki; płodna ona w wynalazki...

Zważcie państwo sami... kupił truciczek za cztery dutki; będą ony gorzały w pokojach przez cały wieczór napełniając wonią zdumione piknikowych gości nosy; a tymczasem nim czas przyjdzie na tę balowę wspaniałość, kucharka w brudny fartuszek strojna, z kozubkiem w ręku, przebiega świetne salony sędziowskie. I zacząwszy od państwa wzięli się wszyscy do strojów godnych balu, który będzie epoką w miasteczku.

Nie dziwcie się państwo, jeżeli rozwlekle opisałem wszystkie szczegóły; teto szczegóły stanowią istotę życia miasteczkowego, ubogiego w ważniejsze zdarzenia; z nichto wyrabiają się one niewyczerpane miasteczkowe pogadanki o domowem sąsiadów pożyciu.

W miasteczku Wronosławiu ruch niezwykły; Mędlowej omal nie brakło wstążek i szpilek. Panny i panie choć w miasteczku, chcą być ustrojone wedle mody która wybiegłszy ze stolicy, obkrzesana, obrobiona i przerobiona po dworach i dworkach jak się dostanie do miasteczka, pojawia się nareszcie w miasteczku owemi czepiradłowemi strojami, na których widok stołeczna modniarka umarłaby ze śmiechu, gdyby pierwej nie zemdlała ze zgrozy i przestrachu. Mendel dawno już rachował na ten bal; zamiast dwoch głów cukru, sprowadził sześć, które rozpakowywał przy niemałym wrzasku zadziwionych i zazdrośnych sąsiadów; lecz, o złośliwości ludzka! sędzia sprowadził wszystko ze Lwowa, i w serce trafiony Mendel kiwa swoją siwą głową, pocieszając się tą myślą jedynie, że może czego im zabraknie!

Pan Rejent biega od domu do domu, wie jak każda z pań będzie ubrana, i donosi każdej z osobna pod największą tajemnicą; wszystkie uradowane, bo każda wie o stroju drugiej, a swój mniema być tajemnicą wiernie chowaną przez Rejenta, który mimo przysiąg zdradził każdą kolejnie. Przebiegły, wie co robi, dotąd jest jedynakiem Parysem tej okolicy, a że żadnej dotąd nie oddał jabłka, lubiony jest powszechnie, co mu przynosi codzień bezpłatną kawę, herbatę, wieczerzę, a często gęsto i obiadek się okroi... i to rubryka!...

Wpadł do apteki; ucieszył aptekarzowę wiadomościami gotowalnianemi, rozweselił pana nowinkami godnemi bruku wronosławskiego; jakoż w nagrodę zaszli przyjaciele do sklepu na lampkę kropel żołądkowych.

— Essencię żołądkowę masz lepszą jak we Lwowie.

— Prawda że dobra? z uśmiechem pychy odpowiedział Rafał.

— Przyznaję, ale czemu nie wszystko tak doskonałe juk u Torosiewicza?...

— Nie wszystko tak doskonałe!... wykrzyknął zapyrzony aptekarz, nader drażliwy o honor apteki i swoich zdolności: »cóż może mieć lepszego? tak robi jak ja, sprowadza jak ja, skądże lepszość?...

— Nie unoś się; więcej zamożny, stara się o potrzebne, a dla ciebie zbyteczne rzeczy....

— Ja wszystkiego potrzebuję, i wszystko mam.

— Tak? założę się że nie.

— O tysiąc ryńskich że wszystko mam co tylko jest w katalogu; i wydobył spory zeszyt mieszczący spis lekarskich żywiołów.

— Na co mam darmo przeglądać; ręczę że prócz piżmowego ogónka, i miętowego olejku nie znajdzie u ciebie by jednej kropli pachnidła... a on ma wszystkie jakie tylko są wschodnie.

— Idzie o tysiąc ryńskich przerwał z niecierpliwiony, i nieczekając odpowiedzi otworzył małą szafkę przy oknie. »Oto jest *oleum neroli*, to cytrynowy, to bergamotowy, to lewandowy, to cynamunowy. Rejent spiesznie odtykał wąchając flaszeczkę jednę po drugiej, przez czas nomenklatury bez końca; nad jedną zastanowił się, i wlał na ręce dość obficie.

— Co robisz? wrzasnął przerażony aptekarz; każda kropla kosztuje piętnaście krajcarów.

— Chcę przekonać się czy nie zfałszowane; odrzekł zimno, i wycierał pachnące dłonie o kamizel-

kę. A teraz bądź zdrów kochany przyjacielu, dodał śmiejąc się wesoło: inną razą dokończymy przeglądu; wykręcił się na pięcie, i wybiegł nucąc ulubioną piosenkę, a drwiąc w duszy z aptekarza, którego mu się udało w pole wywieść.

Rafał mierząc smutnym wzrokiem ubytek drogiego płynu, zapalczywy wysłał z nim wzrok, i mruknął pełen złości.

— Tyle szkody! nieokrzesaniec! grubian! chce pachnąć na balu za moje pieniądze!... poczekaj! nie daruję ci tego.

Przed ganek sędziego zajeżdżają tymczasem goście w rozmaitych powozach; kolaski same, najtyczanki, i skromne bryczki w domu plecione; aktuariusz pełen uprzejmości rozbiera panie; kładzie salopy, płaszczyki i chustki na pańskie łóżko; panie dygając uroczyście, całują powietrze, szukają oczyma zwierciadła jakiego; panowie szczersi, cmokają się aż głośno, a sarkają, aż boli. Gospodyni rozerwana widocznie, bo w kuchni zabrakło masła; znać to po licznych bosych posłańcach znikających za zasłoną kapy. Już goście w zupełnym prawie komplecie, a muzyki jak niema, tak niema; gospodarz gniewny, kręci się jak piskorz przed burzą; rozdano duch kawy cieniem cukru osłodzony; zajeżdża podwoda. »To muzyka!« Nie, to goście z miasta! zamiast dwoch spodziewanych praktykantów przybyło dwoch jeszcze; jeden żurnalista, drugi skończony uczeń szkół realnych, przyszła podpora kolei żelaznych; nowa to zgryzota dla gospodarza; niespodzianka niebezpieczna dla półmisków i butelek. Nowy turkot; podwoda druga się pojawia. To muzyka! Rozjaśniły się czoła. Wybiegają wszyscy na ganek.

— Gdzie rzępoły?...

— Nie ma wielmożny sędzio! odrzekł chłopek z czapką wjednym ręku, a drugą skrobiąc czupryne·

— Jakto nie ma, ty opoju! czy poumierali.

— Grają na weselu u posesora w Lejkowicach.

— Spiłeś się łotrze, i spoźniłeś.

— Wielmożny panie! ja nawet chleba nie widziałem dzisiaj.

— Kłamiesz mudiu! gorzałka bucha z ciebie jak z kufy.

— Nie jegomościuniu! żebym przepadł!...

— Co nie?... i wyciął policzek z jednej strony aż się chłopek potoczył; poprawił z drugiej strony dla równowagi. »Pietrze zamknij go do aresztu!«

— Ależ wielmożny panie, chudoba zmęczona i głodna, i ja....

— Jeszcze rezonujesz! marsz z nim do aresztu; jutro dostaniesz śniadanie.

Rozstali się po czułym przywitaniu; pan sędzia by pić i hulać na balu, a biedny kmiotek, by płakać w areszcie.

— Nie ma muzyki! zawołał chór męski, basem, a niewiewieści dyszkantem.

— Nie ma! spity cham spóźnił się.

— Poślij po organistę; wybornie gra na skrzypcach.

— Szymek postylion wytrąbi doskonale mazura lub walca.

— Diak na basach! wtrącił Jacenty.

— Ja na fortepianie wam zabrzdąkam; dodał pan Kalasanty mandatariusz z sąsiedzkiej wioski, a Adolf będzie akompaniował na flecie.

Lubo się skrzywił Adolf, kandydat na mandatariusza praktykujący u Kalasantego, wniosek jednogłośnie był przyjęty.

Nim muzykę zbiorą, towarzystwo składa zmienne grona kalejdoskopowej całości. Żwawy Rejent obiegł wszystkie damy; każdej powiedział coś grzecznego; to znowu między męszczyznami każdę razi bujnego dowcipu dotkliwym pociskiem.

— Kasia to lube dziewczę! bąknął Adolf rzucając miłośne spojrzenie, jeźli można tak nazwać oparcie brody o piersi, i wycelowanie oczów jak dwururki garłaczowego kalibru w pulchny przedmiot uwielbienia.

— Wyborna na omastę! przydał rejent.

— Cha! cha! na omastę! pochwycił Kalasanty co czycha na koncepta i nowinki, by niemi rozerwać nazajutrz ziewającego hrabiego, i drugich powierzających mu dominia pryncypałów.

— A coż!... tron skórką powleczony!... istne sadełko!...

— Sadełko! parsknął Kalasanty.

Śmieli się wszyscy, a najwięcej Adolf, który potakiwał ciągle Kalasantemu.

— Powiedz mi Ignasiu, czem panna Eulalia natynkowana, cegłą czy minią?

— Szalony! nie możesz poznać naturalnego rumieńca, wszak to środek między ozorem a pekelbiszem; miła barwa wędliny.

— Cha! cha! wędliny!...

Muzyka zagrała nareszcie; Kalasanty sunąc do fortepianu, przysiadł się do żony, sielankowej Balbiny, by jej udzielić słyszane koncepta, które już przedawał za swoje; to też Kalasanty bardzo jest dowcipny w oczach swojej żony.

Płyną, suną, kręcą się i podskakują pary; rejent dzwoni ostrogami, a lubo uczeń szkół realnych brzęczy blaszkami przy butach aż miło, nie roztrzygnięty dotąd spór, co lepszego, ostrogi czy blaszki?...

— W sypialnym pokoju zasiedli gracze wistowi.

— Jak pan śmiesz grać wista! krzyczy doktor; pan nie masz wyobrażenia....

— Alboż zle grałem?...

— A bój się pan boga!... ja wyrzucam żołędź, a ten mnie jak odyńca karmi żołędzią.

— Daruj konsyliarzu! nie uważałem....

— Dziękuję! pan nieuważasz, a ja płacić muszę; przegrałem już dziesięć punktów; to półcwancygiera panie.

— Ależ cicho panowie!... wist znaczy po angielsku, milczeć!...

Na sofcę, przemysłem sędziego utworzonej zasiadł pan Dezydery brat dziedzica bliskiej wioski; upoważniony do pracowania w imieniu braciszka siedzącego we Lwowie, i do odsyłania mu ściśle wyrachowanych dochodów. Z drugiej strony usadowił się w krześle poręczowem pan Michał dzierzawca z owego starożytnego a ginącego u nas typu prawdziwej szlachty wiejskiej; głośny szeroko z spasionej kieszeni, wołów i córek.

— Miałem sześćdziesiąt i pięć.

— Przepraszam; sześćdziesiąt i trzy; ja miałem siedmdziesiąt i pięć odparł Dezydery, pełen nadziei, że odbije pulę; od godziny bowiem walili w marjasza po dwa dudki do puli.

— Ale sześćdziesiąt i pięć panie Dezydery.

— Ale sześćdziesiąt i trzy panie Michale.

— Ja dobrze pamiętam; jakem *sodalis marianus*, sześćdziesiąt pięć!...

— Ażebym nogi połamał; sześćdziesiąt trzy.

— Niech i tak będzie; a zatem przy mnie pula; mam siedmdziesiąt i trzy, ośmdziesiąt cztery, a panfil ze czterdziestu... więc areszt... a co? zapytał patrząc przez okulary na przeciwnika... lecz nadaremnie bo ten znikł jak kamfora....

— Gdzieżeś zdezerterował panie Dezydery?...

— Porachujmy jeszcze raz! ozwał się głos podstołowy, jakby głos podziemny nieboszczyka starego Hamleta; i nagle z stukiem i guzem na czole okazała się z pod stołu zdumionym oczóm Michała łysa głowa Dezyderego; chciał prędko wydobyć się, szerokiem ramieniem podważył stół, który szczęściem zatrzymał się na obszernym żołądku Michała. Michał instynktem prawego gracza wiedziony jedną ręką schwycił karty, drugą zaś trzymał wygraną pulę; lecz złośliwy lichtarz w tej ważnej chwili spuścił płonący koniec świecy na wąsy szczęśliwego gracza.

— Co za głupstwo! wrzasnął Michał, odtrącając gwałtownie świecę od siebie. Świeca wyleciawszy z zielonej fryzury padła płomieniem na obnażoną czaszkę Dezyderego, który nie mógł się dotąd wydobyć zpod ciasnego stolika.

— Co za głupstwo! ryknął Dezydery strząsając bolącą niespodziankę z głowy.

— Co za głupstwo! jęknął nadchodzący sędzia, oglądając szwanki połamanej świecy z czerwonym knotem.

— Co za głupstwo! zawtórował chór gości, których woń od dogorywającego knota niemile uderzyła. Po niemałym kłopocie przy ogólnym a głośnym śmiechu rzecz się cała wyjaśniła. Pan Dezydery usłysawszy okropne słowo »areszt!« rzucił się gwałtownie na improwizowanej sofię: wstrząśnięte papiery rozsunęły się, a sprawca ruchu jako najcięższa i najgrubsza plika zjechał na materacu pod stół.

Muzyka tymczasem przestaje często by wytchnąć i zakrapić się piwem, bo od stworzenia świata, czyli raczej od stworzenia organistów, diaków i postylionów, wszystkie te trzy rodzaje człowiecze mają za cechę rodzajową, nieugaszone pragnienie połączone ze wstrętem do wody. Bal postępuje co raz weselszy, coraz zwawszy; rejent z Kalasantym i Adolfem uknuli spisek na panie; donoszą nieustannie mocną herbatę dobrze osłodzoną niby dla ochłody; spostrzegł pierwszy sędzia nagły ubytek rumu.

— Co robicie? czy wy poszaleliście? tak wcześnie chcecie siebie i ludzi spoić... — A ty chcesz majątek robić z balu? odpowiedzieli śmiejąc się. Zagryzł sędzia wargi, a myśli o zemście.

Posłuchajmy panie nie tancujące.

— Jakże pani synek?...

— Zdrowszy bogu dzięki!... patrz pani jak Dezyderowa puszy.

— Bo szwagier dziedzic!... ale tyrolskiego byczka to pani prawdziwie zazdroszczę.

— Ja pani srokatej jałówki... jeden brat dziedzic, a drugi ekonom; ale jak Julcia wyładniała.

— Dziękuję; ot zdrowa sobie!... ale mam wielką szkodę; dwanaście indycząt mi zdechło na korale....

— Uważasz pani jak aptekarzowa ledwie oczami nie zje rejenta....

— Stara! ma męża; a chce kokietować... ja nietrzymam indyków, ale kury moje chorują na pypeć.

— A on z niej zartuje... moje kury zdrowe!... kiedy też wesele Kostusi?... to przyjemny jakiś chłopiec siedzi przy mojej Izabelce; nieznasz go pani?...

— Sama niewiem jak będzie z weselem, bo tam podobno coś zaszło... prawda że przystojny chłopczyna; nie znam go....

— Cóż to zaszło?...

— Ot zwyczajnie!... romanse zawsze romansami!... ależ sędzina ponasadzała pierścieni aż strach.

— Nie dziwota! tyle żydów jest w miasteczku.

Chwalony chłopiec przez panią Janowę dziedziczkę małej szlacheckiej części był pan Jakób realista; pełen zapału rozmawia z Izabelką.

— Od pierwszego wejrzenia zachwyciłaś mnie pani, oczarowała zupełnie.

— Ej, co pan gada....

— Prawdę szczerą!...

Jakie oczy, co zà lica!
Oczy jasne, modre, duże!
To nie lica, ale róże;
Istna, istna czarownica!...

— Pani jesteś!...

— Ja nieumiem czarować.

— Mam próby na sobie...

Ach gdy panią ujrzałem,
Doprawdy oszalałem,
Po uszy zakochałem;
I umrę z czułości,
Gdy nie doznam wzajemności.

Pierwsze wiersze nie są moje, ale drugie!... natchnęłaś mnie pani weną poetycką; drugie straszliwa miłość zaimprowizowała.

— Ej bo pan już nadto żartuje ze mnie.

— Ja żartuję?... ach nie! przysięgam na pani oczy piękne jak niebo; na głowę nieboszczyka ojca; na siwe brody moich naddziadów....

Biedna Izabelka słyszała już różne zaklęcia, »żeby mnie d..... wzięli, żeby mnie nagła śmierć porwała; ale tak pięknych nigdy!... Jej piękne oczy, ojcowska głowa! to cudownie... ależ brody pradziadowskie; to fe!... aż zadrzało serce szlachcianki.

— Pański pradziadek chodził z brodą?...

— Równie mój, jak i pani!...

— O mój nie!...

— Niezawodnie! bo pani jesteś moją współrodaczką, a przodkowie nasi nosili brody. Uspokoiła się; w pierwszej bowiem trwodzę sądziła że dziadek Jakóba prócz brody miał pejsy, a może i arendy trzymał.

— Długo pan zabawi w naszej okolicy?...

— Wkrótce jadę na politechnikę do Wiednia.

— Do Wiednia? powtórzyła; i na długo?...

— Na trzy lata!...

— Na trzy lata?... i mimowolne uleciało westchnienie usłyszane przez Jakóba.

— Ach trzy wieki powiedz pani!... poznać niebo, a uciekać przed nim w piekło!... jedyną pociechą byłaby pamiątka od pani; wszakże nie będziesz tak okrótną by mi jej odmówić....

— Dziewczyna milczała....

— Jak mam tłómaczyć to milczenie.

— Milczała....

— Skróć pani tę dręczącą niepewność.

— Milczała....

— Okrutna!... daj choć nadzieję wzajemności, a będę najszczęśliwszy!...

— Milczała....

— Trzy lata przeminą w krótce; a wierny miłości i ufny w jej słowo z pamiątką w sercu i na sercu, pędem lokomotywu pospieszę do nóg twoich.

Milczała; lecz coś tak przyjemnie serduszko jej połaskotało, aż kurcz zciągnął muszkuły rączki, a Jakób poczuł lekkie drzące uściśnienie, które szybkością elektrycznej iskry przelało lubość w jego istności. Szczęśliwy chciał ucałować drogą mu dzisiaj rączkę. Dziewczyna wyrwała ją.

— Co pan robisz?... patrzą na nas.

Muzyka zagrzmiała nanowo; Jabób prowadząc do walca Izabelkę, jakoś niechcący dotknął ustami śnieżnego ramienia; dziewczyna spłonęła podług przyjętego w takim razie zwyczaju, a młodzieniec pełnemi odetchnął piersiami.

— Rejent kadücznie wdzięczy się do twojej żony Rafałku, szepnął sędzia złośliwie. Rafał nad życie kochał pieniądze i żonę; o oboje nad wyraz był zazdrośny, i gdyby przyszło do smutnego wyboru, niewiem prawdziwie którąby stratę snadniej zniósł; wymierzony więc pocisk ugodził w słabę stronę Rafała. Zawistnie spoglądą na tańcującego Ignacego z najdroższą Basią; radby przerwać mazura, ale nieśmie; połyka ich tylko zjadliwemi spojrzeniami, a w sercu wre chęć zemsty, którą by wywrzec, smażą się jak w retorcie rozmaite myśli w głowie aptekarskiej.

Wtem podskakującej aptekarzowej odpiął się jeden warkocz, tworzący dotąd na głowie przy pomocy drugiego rodzaj stojącego precla włosianego, który spadając przy każdym tańcowym podrygu na mięsiste plecy wydawał łoskot klapki spadającej na muchy. Widząc ten przypadek usłużny Ignacy wyprowadził z sali nadobną Barbarę do bawialnego pokoju, i tam przy lustrze poprawiał jak mógł zepsutą fryzurę. Jak duch Banka pojawił się aptekarz.

— Pięknie! bardzo pięknie....

— Cóż takiego?...

— Jeszcze śmiesz pytać!...

— Co tobie człowieku?...

— A pan jak śmiesz koło głowy żony mojej laborować?...

— Což to złego?...

— Jeszcze pyta, co to złego?...

— Rafale tyś oszalał!...

— Basiu nie nadužywaj cierpliwości mojej!...

— Zastanów się Rafale! mamže tańczyć z rozpiętemi włosami.

— To sama zapnij!...

— Žeby suknia pękła.

— Možesz mnie zawołać...

— Kiedyś niezgrabny!

— Mąž niezgrabny! zapewne pan rejent zgrabniejszy.

— Nie szalej stary!...

— Przespij się przyjacielu!...

— Ja nie pijany! krzyknął drząc ze złości, a twarz skrzywił jakby zažył rumbarbarum.

— Chodźmy panie Ignacy kończyć mazura.

Nim Rafał zdołał zatrzymać žonę, już wybiegła para, i śmiejąc się do rozpuku, zamknęli drzwi na klucz, krzyknąwszy mu szyderczo »dobranoc!...« W pierwszej chwili chciał drzwi wysadzić, lecz obecność graczów, wstrzymała go; wypił szklankę wody, i jakaś myśl nie wodnista, przebiegła po głowie aptekarskiej, až się uśmiechnął, oczy złośliwą radością zabłysły.

Nadszedł sędzia i wybawił więźnia.

— Co robi moja žona?...

— Hula z rejentem.

— Niech hula! i wybiegł z odkrytą głową na ulicę; žydki zebrane przed oknami widząc czwałującego do apteki myśleli že zwarjował....

— Chodźmy odjeść swoje! szepnął półgąbkiem dowcipny Kalasanty, i kilka osób wymknęło się z sali. Jedzą až strach, a piją, jak wielbłądy wybierające się na kilkodniową wędrówkę, po puszczy.

Ciąg dalszy nastąpi.

Rezygnacia.

Gwiazdy moje! tak jasne byłyście na wschodzie
I szlaki tak pogodne stały wam w przestworzu,
A wpółdrogi owite w chmur czarnych powodzie,
Žeście mgłami spłakane potonęły w morzu.

Mnie młodzieńca gorączka garnęła do świata,
I tyle pięknych kwiatów rokowało ziarno!
Wiatr z północy doczekać nie pozwolił lata,
Kwiaty ściśnięte mrozem poschnęły tak marno!

Dziś serce ku rodzinie tylko się obraca,
Czyž młodość li dla siebie szczęścia ścieżki kreśli?
Tož u domu odłogiem taka leży praca
I czynem tam uderzyć gdzie dziś tylko myśli.

O! ja wam ślubowałem, myśli towarzysze!
Wy mi pustynie życia jasno oświecacie;
Z wami cierpliwie czekam po niejednej stracie,
Prędko mnie śmierć piastunka do snu ukołysze?

Celestyn W.........

Stary kawaler.

»Lat pięćdziesiąt i pięć z górą!
Słuchaj bratku, już za chmurą
Słonko twoje gdzieś zapada...
Na spoczynek się układa.

»O! samemu pośród ludzi
Wszystko wadzi, wszystko nudzi;
Jemu ludzie nie dość szczerzy,
Bóg nie dobry, skąpo mierzy.

»Samotnemu pośród lata
Wieniec szczęścia się rozplata,
I tak marnie kwiat po kwiecie
Na tym pięknym ginie świecie.

»O! samotnik w dniach jesieni
Łzą radości nie promieni,
On nie posiał, on nie zbiera,
Žył sam jeden, sam umiera!...

Zamilkł, długo w siwej głowie
Jakieś ciężkie myśli ważył;
Znać że myślom ciasno w słowie,
Bo nic nie rzekł, i zamarzył.

Ale w bladem, zwiędłem licu,
Jak obłoki po xieżycu,
Przesuwają sny, marzenia,
Lata młode i wspomnienia.

Jak gdy ci się widzieć zdarzy
W pięknej nocy puch łabędzi,
Co na jasnej lśni krawędzi:
Taki uśmiech siadł na twarzy.

O! to rajski sen młodziana,
I ta postać ukochana
Świeci w myśli napół mglista,
Jak obłoczek jasna, czysta.

»Być nie miało, i nie było!«
Kiwnął głową, machnął dłonią,
I znów osiadł cień nad skronią.
»Jednak pięknie się marzyło!«

Žywszą barwą lice płonie,
Jak gdy xiężyc w szkarłat tonie,
Gdy północna świeci zorza,
To lat męskich szał, bezdroża.

Teraz spojrzyj w starca lice,
Zlicz te burze, błyskawice,
Co w tej duszy dzikim chórem
Grały niegdyś z gromu wtórem.

O! szaleniec — pragnął wiele;
Chciał anioła w ludzkiem ciele;
I nie znalazł — w poniewierce
Styrał miłość, ziębił serce.

Dziś po tylu walkach duszy,
Po roskoszach i katuszy,
Cóż zostało? — gorycz żalu,
Knot dymiący lampy z balu!

»O! samotnik w dniach jesieni
Łzą radości nie promieni:
On nie posiał, on nie zbiera,
Żył sam jeden, sam umiera!«

Wstrząsł ramieniem, machnął dłonią,
Rojem zbiegły sny ponure,
I nad bladą siadły skronią...
Xiężyc w czarną zapadł chmurę.

J. Zakrzewski.

Nowości literackie.

Nakładem Jana Milikowskiego, tego najczynniejszego u nas w tych czasach przedsiębiercy, mają wyjść niebawem u Solingera w Wiedniu następujące dzieła.

1) Wincentego Pola powieści i obrazy, w jednym tomie. W przemowie powiada autor, że wstąpiwszy od niejakiego czasu na pole nauk przyrodzonych i głównie dziś tego rodzaju pracami zajmując się, czuje tem mocniej potrzebę zebrania swoich prac lżejszych i oddania ich publiczności. Będzieto zapewne miła xiążka dla naszej publiczności, ile że autor jej jest jednym z tych którzy nie z chwilowej próżności jęli się pisarskiego zawodu, aby go potym porzucić; lecz ze szczerego i mocnego w nim zamiłowania, które samo jedno jest w stanie nadać siłom hart potrzebny do zwalczenia wszelkich trudności.

2) Przygody jmćpana Benedykta Winnickigo, w podróży jego z Krakowca do Nieświeża, r. 1766 odbytej, opowiedziane przez Wincentego Pola. Drugie, poprawne wydanie. Rychłe rozkupienie pierwszego wydania, było dla nakładnika bodźcem że autora do niniejszego wydania, które od pierwszego będzie nierównie ozdobniejsze, nakłonił.

3) Antoniego Malczewskiego, Maria powieść ukraińska i inne pisma. Wydanie dziewiąte, pomnożone nieznanemi dotąd szczegółami z życia autora i nowemi poeziami przekopiowanemi z autografu tego pisarza. Załączona będzie także podobizna podpisu autora.

Dzieł Kazimierza Brodzińskiego wyszło ośm tomów w Wilnie; już i po naszych xięgarniach dostać można przynajmniej niektórych tomów.

L. Glücksberg w Warszawie robi wierny przedruk następujących kronik polskich, mianowicie: Stryjkowskiego, Bielskiego, Gwagrina i Kromera; wydanie będzie bardzo piękne i poprawne.

W wykazie nauk mających się wykładać we wszechni jagielońskiej, od 1 października 1843, do połowy lipca 1844, któryto wykaz, w języku łacińskim, drukiem jest ogłoszony, znajduje się na czele, ciekawa wiadomość o Stanisławie Marzeńskim, heleniście znakomitym z szesnastego wieku, udzielona przez x. Leona Laurysiewicza rektora tegorocznego. Dowiadujemy się ztamtąd że pomieniony Marzeński był synem Grzegorza Twardego, włościanina wioski Marzenin, niedaleko Gniezna, i od tej wioski rodzinnej przybrał nazwisko. Roku 1558 przyjęty był w poczet uczniów akademii jagiellońskej; był spółtowarzyszem znanych uczonych: Stanisława Reszki, Erazma Glicznera, Jakuba Wujka i Stanisława Jakobeja. Odbył dysputę teologiczną w obec króla Stefana Batorego. Umarł roku 1580. Był głębokim znawcą greczyzny oraz łaciny i w tych dwoch językach pisał poezie, naśladując Homera i Wirgilego. Był także biegłym w języku hebrajskim. Między xiążkami które darował bibliotece krakowskiej znajduje się duży rękopism zawierający twory jego poezijne, najwięcej w języku greckim, tudzież w języku hebrajskim i łacińskim układane, i z takowych przytacza szanowny rektor Laurysiewicz niektóre wyjątki.

Z artystów narodowych zasługuje na zwrócenie uwagi powszechnej znajdujący się teraz w Warszawie Wincenty Smokowski, malarz. Wykończył on niedawno kilka wielkich obrazów z których dwa przedstawiają sceny opryszków w Karpatach, inne dwa sceny krakowskiego ludu. Prócz tego, wielki obraz Jadwigi gdy porywa topor i chce przemocą wyjść z zamku krakowskiego; tudzież następującą scenę z życia Jana Kochanowskiego: Jan Zamojski trzyma na kolanach małą Urszulkę, dziecina wyciąga ręce do matki, a Jan i Piotr Kochanowscy stoją przed bohatyrem wieku swojego.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.